

KAZIMIERZ STOPA

ur. 1923; Rozięcín



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów, praca w roli kierownika internatu, wyzwania w pracy, ulica Krzywa, Czesława Szczerba, kradzieże, usprawienie funkcjonowania instytucji, państwo Abraszewscy, relacje z pracownikami, pan Rogoza, pan Rękas

2. Wyzwania w nowej pracy na stanowisku kierownika internatu

Na ulicy Krzywej, u pani dyrektor Szczerbowej, zameldowałem się w pierwszych dniach stycznia i tam z miejsca przystąpiono do przekazywania mi obowiązków kierownika. Moim zastępcą do spraw pedagogicznych została starsza pani, nazywała się Lepianko, kobieta, która mówiła o sobie, że już pochowała trzech mężów i na czwartego ma ochotę. Pani pełna werwy, mimo, że w podeszłym wieku. Jednocześnie bardzo wścibska, intrygantka, „oko i ucho cara” jak mówiono o niej, określając jej stosunek do pani dyrektor Szczerbowej, jako do dyrektora Liceum Wychowawczego. Na zastępcę administracyjnego wskazałem dotychczasowego p.o kierownika administracyjnego, nazywał się Podebry, ale z myślą, że przy pierwszej okazji go wymienię. Zaczęto naciskać bardzo pilnie, żebym przejął pod swoją opiekę i odpowiedzialność moralną i materialną, składniki majątkowe internatu i szkoły. A w gmachu tym mieściło się Liceum Wychowawcze Przedszkoli. W lewym skrzydle, patrząc na front budynku, na czwartym piętrze, były wydzielone pomieszczenia na Liceum Biskupie, na które władze łaskawie zezwoliły. W gmachu mieszkało dwunastu lokatorów, jednocześnie siedemset sześćdziesiąt dziewcząt. Była olbrzymia stołówka obsługująca zarówno internet, jak i personel, w tym siedemdziesiąt sześć osób administracji i obsługi internatu oraz gospodarstwa hodowlanego przy internacie. Rzecz skomplikowana, złożona, i jak na mój samodzielny start, bardzo odpowiedzialna. W każdym bądź razie taką odpowiedzialność czułem, więc zaczęto od tego, że zwołano komisję, która miała uczestniczyć i firmować wraz ze mną dokumentację związaną z przyjęciem składników majątkowych. Zaczęliśmy od ksiąg inwentaryzacyjnych i od sprawdzania stanu posiadania mebli, urządzeń, sprzętów, łóżek, pościeli, magazynów. I co się okazało? Do jakichkolwiek pozycji nie dotarliśmy i nie zaczęliśmy zliczać składniki majątkowe, to cyfry końcowe nie zgadzały się z

wpisem. I to zarówno co do ilości stołów, co do ilości krzesel, jak i co do ilości ław, jak i materaców, no w ogóle wszystkich składników. I po trzech dniach poprosiłem komisję, która ze mną pracowała, do gabinetu pani dyrektor Szczerbowej i powiedziałem, że ja w tym stanie rzeczy składników majątkowych na swoją odpowiedzialność wziąć nie mogę, bo są ewidentne duże braki i pozycje figurujące w spisach inwentarzowych nie zgadzają się ze stanem faktycznym. Pani Szczerbowa na to zareagowała bardzo ostro: „Ależ kolego! Ja nie będę czekała, pan to musi zrobić!” Ja mówię: „Nic nie muszę, pani dyrektor, niech pani powoła specjalną komisję, proszę się porozumieć z Wojewódzkim Wydziałem Oświaty - bo placówka pod to kuratorium podlegała - i niech komisja składająca się z fachowców sporządzi spis inwentarza, a ja jej wyniki zaakceptuję i podpiszę przyjęcie.” No, rzecz otarła się o zarząd okręgu TPD. Liceum Wychowawcze Przedszkoli, Liceum Pedagogiczne numer 1 i Liceum Pedagogiczne numer 2 w Lublinie, zostały uznane jako placówki Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, a więc placówki, które miały przygotować młodzież do pracy i nauczania w przewidywanym ześwieczonym systemie oświaty PRL –u. Główne i znaczące słowo w odniesieniu do tych placówek miała właśnie towarzysząca dyrektor Szydłowska. Więc zawiadomiłem ją o tym, o tych perturbacjach. No i tu towarzysząca Szydłowska przyznała mi rację i zażądała, aby ta komisja została powołana. Skoro to zostało rozstrzygnięte wyszła następna sprawa: żeby pilnie przejął pod swoją opiekę i prowadził dystrybucję na potrzeby gospodarcze składów paliwowych, a więc: koksu, węgla i drzewa, które było potrzebne do palenia w kuchni i nie tylko. To był rok szkolny 1950/51. Więc dla tych celów powołano znów komisję kilkusobową, no i wyszliśmy na plac z księgami stanowiącymi ilość posiadanego opału do przyjęcia - pod gołym niebem leżących przyzmy koksu i węgla. No i co ze spisu wynikało? Że na placu od strony zsyków do kotłowni centralnego ogrzewania miało znajdować się około stu siedemdziesięciu ton koksu. Ja się przyjrzałem tej przyzmy, obszedłem ją dookoła i mówię: „Proszę państwa, jak mnie moje harcerskie oko nie myli, to ja tu, w tej przyzmy, widzę najwyżej siedemdziesiąt, osiemdziesiąt ton koksu” Idziemy do następnej przyzmy, która była usypana z węgla, od strony kotłów parowych, które ogrzewały wodę i parę do kuchni, pralni i umywalni dziewczęcych na piętrach. Tam stwierdziłem również stan węgla, według mojej wzrokowej oceny, co najmniej o połowę zawyżony. To samo z drzewem. I powiedziałem, że ja takich stanów nie podpiszę. Więc pani Szczerbowa wpadła we wściekłość. W ogóle była człowiekiem bardzo agresywnym. - „No! Kolego! Pan mi utrudnia pracę! Ja będę wniosła o zwolnienie pana!” Ja mówię: „Ja nie utrudniam pracy pani dyrektor, i nie chcę, żeby pani to mierzyła workami, czy kazała ważyć na wadze, ale ma pani przecież matematyków, są czwarte klasy liceum pedagogicznego, niech pani profesor Głowińska, znana matematyczka, nauczycielka, wychowawczyni, niech pani Głowińska weźmie ekipę dziewczęcą na plac, ja zobowiązuję pracowników, palaczy i dozorców do tego, żeby usypali z węgla i koksu przyzmy zbliżone do brył geometrycznych, wymierzmy wysokość, szerokość, długość, i na podstawie

wyliczenia, przy wyważeniu odpowiedniej porcji, zorientujemy się ile jest węgla, ile jest koksu. Bo nawet drzewo ułożone w metrach sześciennych jest łatwe do obliczenia” No i przyjęto moją argumentację, pani profesor Głowińska z młodzieżą podjęła zajęcia praktyczne, że tak powiem, lekcje na placu szkolnym. No i wybuchła bomba. Wyliczono, że siedemdziesiąt ton koksu brakuje, sześćdziesiąt ton węgla brakuje, i z drzewa, które było w spisach, połowę też brakuje. Więc to nie tylko strata materialna i ewidentna kradzież, ale zagrożenie, że opału nie starczy do końca zimy. A była w owym roku zima dość mroźna i śnieżna, centralne ogrzewanie musiało pracować pełną parą, kocioł parowy dla kuchni i urządzeń grzewczych również, więc tragedia. Trzeba było wystąpić o nowe przydziały opału, węgla i koksu. A w owych latach wszystko musiało być reglamentowane. Trzeba było na podstawie wyliczeń bardzo dokładnych, kubatury budynku, prywatnych mieszkań, trzonów kuchennych, punktów paleniskowych, siły kotłowni grzewczych - na podstawie tego wyliczano opał, i ten opał był przedzielany, a w okresie letnim dostarczany wagonami z kopalń śląskich. I z lokostacji Lublin zabierano to do poszczególnych zakładów pracy, szkół czy instytucji. Więc złożyłem dodatkowe zapotrzebowanie, uzasadniłem czym się kieruję. Konsternacja u władz, skąd takie potężne braki, skąd to się wzięło? Dlaczego? W każdym razie zabezpieczyłem zakład i cały czas uładzając sprawy organizacyjne, wychowawcze, zastanawiałem się skąd i dlaczego są tak potężne braki materiałowe w placówce, którą powierzono mojej opiece. W każdym bądź razie organizacyjnie sprawy ująłem w garść, a jednocześnie doznałem ewidentnej życzliwości od strony ludzi, których nie znałem. Byli to państwo Abraszewscy. Oboje pedagodzy. Ona wykładała w Liceum Pedagogicznym i Liceum Wychowawczym Przedszkoli pedagogikę i metodykę nauczania, a jej mąż, też nauczyciel, był pracownikiem Wojewódzkiego Wydziału Oświaty - tak nazwano kuratorium. Ludzie ci sami mnie zaczepili, a raczej pani Abraszewska, która pilnie obserwowała moją osobę, i to, co się działo wokół mojej osoby w Liceum Pedagogicznym, i sama mnie kiedyś zaczepiła na korytarzu. Stałem, przyznam się, mocno zmartwiony aktualną sytuacją, i wsparty o parapet patrzyłem na podwórzu, kiedy ta pani, przechodząc koło mnie, zatrzymała się i mówi: „Przepraszam pana, panie kierowniku, widzę, że pan jest zmartwiony” Ja mówię: „Niestety tak, pani profesor” A to starsza, bardzo poważna pani. Mówi: „Proszę pana, ja chciałabym porozmawiać z panem, raczej mąż i ja. Żeby pana uspokoić co do naszych intencji, to chcę panu powiedzieć, że naszym bardzo bliskim przyjacielem, i człowiekiem, z którym od lat utrzymujemy bardzo serdeczne stosunki, jest pan Włodzimierz Pieńkowski. Jak pan wie, był pan wychowankiem jego w Liceum Handlowym. Mało tego, byliście razem, pracowaliście razem w Bursie RTPD i TPD, on jako społeczny dyrektor, pan jako wychowawca. A ponieważ nas z państwem Pieńkowskimi, a konkretnie z panem Włodzimierzem, łączą bardzo serdeczne i zażyłe stosunki, będąc z mężem w Puławach na imieninach jego żony, padło pańskie nazwisko, i pan wybaczy, ale zebraliśmy o panu wszystkie możliwe, i jak najlepsze referencje. Zapraszamy pana do nas wieczorem na

herbatkę” Więc byłem zaskoczony tym zaproszeniem, ale chciałem się pokazać od jak najlepszej strony, więc pobiegłem na pobliski targ, kupiłem kwiaty, przebrałem się w miarę przyzwoicie. O określonej godzinie zapukałem do drzwi. Abraszewscy mieszkali w tym samym budynku, ale od drugiej strony, wejście od strony podwórza. Przyjęli mnie bardzo serdecznie, była nie tylko herbatka, ale po lampce wina, i bardzo przyjemna rozmowa. Okazuje się, że mamy wiele wspólnych znajomych, i wtedy ci państwo mi powiedzieli: „Proszę pana, chcieliśmy pana przestrzec, że tu chcą pana zniszczyć, a jeżeli nawet nie zniszczyć celowo, to bezwiednie obarczając pana odpowiedzialnością za sprawy, które trudno panu przypisać, ale które panu przypiszą, jeżeli pan nie będzie w miarę ostrożny, i da się pan podprowadzać” I wtajemniczyli mnie w całą sytuację, powiedzieli mi o moim poprzedniku, o jego machlojkach, o tym jaka grupa i jacy ludzie trzęśli tym zakładem do niedawna, i przestrzegli mnie przed pracownikami administracji. Szczególnie przed tą męską grupą składającą się z palaczy, woźnych i dozorców. To działo się w bardzo niedalekim czasie od tego momentu, kiedy nastąpiło to wielkie spięcie o niedobory w w magazynach paliwowych. Mojego poprzednika poznałem jeszcze w Niemczech Zachodnich w obozie wysiedleńczym dla polskiej ludności wywiezionej na przymusowe roboty do Niemiec, w tak zwanych „Depicampf”w brytyjskiej strefie okupacyjnej, był to pan, który tam był nauczycielem w szkole polskiej, powołanej przez polskie władze opiekujące się obozem. Jego szwagier był kierownikiem tej szkoły, nazywał się Bolesław Kolina, a dwie siostry były żonami - jedna tego pana Koliny, druga tego pana, który poprzednio, przede mną, administrował tym internatem, i tym gmachem. I ten pan, powołując się na naszą znajomość sprzed lat, kiedy byłem komendantem hufca harcerskiego w obozie wysiedleńczym, zwrócił się do mnie z propozycją, która brzmiała mniej więcej w ten sposób: „Panie Kazimierzu, chciałabym panu pomóc w oładzeniu spraw w internacie, w ogóle w administrowaniu tego gmachu, zapraszam pana do siebie wieczorem, na spotkanie, będą też pracownicy załogi, pozna ich pan bliżej, będzie pan miał z kim współpracować, będzie pan wiedział o kogo się w razie potrzeby wesprzeć w sprawach trudnych lub kłopotliwych” Ja byłem straszliwie zabiegany, było tyle problemów natury wychowawczej, organizacyjnej, tyle kradzieży, tyle zaniedbań w kuchni, i w hodowli, że chodziłem jak w kieracie, jak w maszynie. No i na umówioną godzinę przychodzę do państwa Podebrych, którzy mieszkali w tym samym budynku, gdzie się mieścił internat, i w dodatku w pokoju, poprzez ścianę przyległą do pokoiku, który mnie po wielu perturbacjach w końcu dyrekcja przydzieliła. Była tam izolatka, tę izolatkę zamieniono na pokój dla mnie, i ja wchodzę do mieszkania pana Podebrego, na umówioną godzinę, i w progu stanąłem zdębiały, zaskoczony. Olbrzymi stół rozstawiony pośrodku pokoju, na stole bateria litrowych butelek, zastawiony suto stół, i przy tym stole dozorca, palacz jeden, drugi, trzeci, czwarty, woźny, i człowiek nie związany z zakładem, ale dawny woźny. I to wszystko: „Ooo, witamy, panie kierowniku!” Entuzjazm. Była jego żona, znaliśmy się jeszcze przecież z Niemiec. I

jak ja spojrzałem na to wszystko, to powiedziałem: „Bardzo mi miło proszę państwa, ale musicie albo poczekać na mnie, albo zacząć konsumpcję bez mnie, bo ja w trybie pilnym mam zwołaną radę z młodzieżą w sprawie wychowawczej, i muszę być w auli, dlatego proszę państwa wybaczyć, że ja w tej chwili z wami do stołu nie usiądę” Skłamałem. Żadnego zebrania nie miałem. Ale piorunem zareagowałem, kazałem zwołać pilnie zebranie wszystkich dziewcząt, do auli, a tam zawsze miałem coś do przekazania, miałem o czym mówić, spraw wychowawczych, porządkowych, higienicznych i innych, było tyle, że rozpocząłem to zebranie, i po jakichś czterdziestu minutach zajrzał jeden z tych członków libacji, a ja w dalszym ciągu z młodzieżą rozmawiałem. Musieli być też na tym spotkaniu wychowawcy, którzy mieli dyżury. Za jakiś czas znów przyszedł następny, zajrzał do auli, a ja w dalszym ciągu zebranie prowadziłem. Prowadziłem tak długo, aż w końcu przestali zaglądać. Ja przekazałem to, co miałem do przekazania młodzieży, zebranie się rozwiązało, i wróciłem do siebie, i zamknąłem się w pokoju na klucz. Było dwukrotne stukanie, ale ja się nie odezwałem, udałem, że mnie nie ma. To był sobota. W niedzielę, jak zwykle, obszedłem internat, by sprawdzić jak działają poszczególne służby, i czy są wychowawcy, jak wygląda podawanie śniadania, porządki w sypialniach żeńskich. I stukanie do mnie do gabinetu, wchodzi pan, nazywał się Rogoza. To był człowiek, który był mężem zaufania pracowników fizycznych internatu i szkoły. Człowiek partyjny, członek podstawowej organizacji partyjnej, członek jej egzekutywy, w ogóle mający mir wśród pracowników. I on zastukał tam do mnie, i powiedział: „Dzień dobry panie kierowniku, chciałem pana prosić do pomieszczeń kotłowni, tam mamy panu coś do przekazania” Więc ja z nim idę od siebie z gabinetu, zawsze chodziłem z takim pękiem kluczy, wchodzę schodami w dół, do kotłowni, a kotłownia była olbrzymia, kotły leżące, poza kotłami duża przestrzeń, czysto utrzymana, i ja patrzę, a znad tej wydzielonej przestrzeni poza kotłami, wyłania się stół zastawiony, cała męska załoga, i wódka na stole. I tu wpadłem w trochę wyreżyserowaną wściekłość, z awanturą: „Jak to? W czasie pracy? Dyżuru? W kotłowni? Pijaństwo? Wypraszam sobie takie rzeczy!” Nagadałem im co niemiara, wykręciłem się na pięcie, i wyszedłem. Już po mnie więcej nie przyszli. Ale zaczęli tak obserwować mnie z boku, próbować na ile mogą wykorzystać swoje wpływy na moją osobę. Liczyli na naiwność, młodość, niedoświadczenie, a szczególnie ten Rogoza. Któregoś dnia wychodzę z kancelarii, ze swojego gabinetu na korytarz, i kątem oka zobaczyłem, że stoi on w korytarzu, jakieś kilkanaście metrów dalej. To długie korytarze, duży gmach. Udałem, że go nie widzę, odwracam się, i idę w stronę głównego holu i kuchni, a on za mną woła: „Panie Kazimierzu!” Ja idę. - „Panie Kazimierzu!” Ja w dalszym ciągu nic - „Panie Kazimierzu!” A ja się odwracam i mówię: „Panie Rogoza, ja z panem ani krów nie pasłem, ani do jednej klasy nie chodziłem, ja dla pana jestem panem kierownikiem, i niech się pan tak do mnie zwraca, panie Rogoza, zrozumiał pan?” I wykręciłem się na pięcie i poszedłem. Rozpoczęła się wojna podjazdowa, musiałem ukrócić pewne rzeczy - kradzieże w kuchni były nagminne, rozkradanie opału, rzecz

prawie na porządku dziennym, sprawy niedoważenia porcji mięsa, uregulowanie spraw hodowli, bo przy internacie chowaliśmy sześćdziesiąt sztuk tuczników, w tym dwie sztuki hodował dozorca, który był odpowiedzialny za chlewnię, a na którego nie było etatu, żeby opłacać go przy hodowli, więc w ramach tego wynagrodzenia za jego pracę, wolno mu było przy trzodzie internatu chować dla siebie dwie sztuki świni. I o dziwo, o ile sztuki internackie przybywały na wadze dość opieszale, w czasie, który logicznie można było wyliczyć, o tyle świni pana Rękasa rosły wręcz niesamowicie! To na mnie podziało tak, że zacząłem się zastanawiać - skąd? Dlaczego? Może Rękas lepiej je karmi? Ale nie, one były w jednym stadzie, a co jakiś czas, zwracał się do mnie z prośbą, żebym mu wystawiał zaświadczenie, że w ramach własnej hodowli ma prawo do uboju dwóch sztuk, czy jednej sztuki świni w rzeźni miejskiej. I ja mu taką rzecz wystawiałem, bo w owym czasie była reglamentacja wędlin, mięsa, tłuszczu, i tych innych rzeczy. Było to ściśle kontrolowane, i on te sztuki woził na ubój. I wpadłem na iście perfidny pomysł. Ubrałem się w kombinezon, założyłem gumowe buty, wziąłem taką buteleczkę z tuszem, i wszedłem sam do chlewni, kiedy Rękasa nie było. I widziałem, które są sztuki pana Rękasa, i które są sztuki internackie, i namęczyłem, ale wszystkim świniom za uszami, świniom własności internackiej, zrobiłem tuszem znaki, a zostawiłem te Rękasowe niezaznaczone. No i tak zostało. Rzecz się zakończyła bardzo ciekawie. Minął jakiś czas, ja już zapomniałem o tym swoim wybiegu, a pan Rękas zwraca się do mnie z prośbą, żeby mu wydać zezwolenie na dostarczenie świń do ubojni. Ja mówię: „A gdzie są te świni, panie Rękas?” - „A już załadowane proszę pana na podwórzu na furmankę, i mam z nimi jechać” Ja mówię: „Niech mnie pan pokaże te świnię” Przychodzę z nim, patrzę, a u świniaków, za uszami jest mój znak z tuszu. Ja mówię: „Panie Rękas, to na pewno pańskie świnię?” - „Ależ tak! Panie kierowniku, no przecież ja je hoduję, ja je karmię!” Ja mówię: „Nie proszę pana, pan je karmi, pan je hoduje, tylko to nie są pańskie świnię, o widzi pan - i odkryłem ucho. Patrz pan, ta świnię jest oznaczona, i ta świnię jest oznaczona. Choć pan ze mną do chlewni, to ja panu pokażę, które świnię są niezaznaczone. I one są pańskie” No i pytam się: „Panie Rękas, czy mam sprawę kierować do milicji, czy zawiadomić kuratorium? Jak my tą sprawę załatwimy?” No i chłop się przestraszył, świnię wróciły do chlewu, ja położyłem areszt na jego dwóch sztukach, a jednocześnie pomijając panią Szcherbową, bo z nią nie mogłem znaleźć wspólnego języka, skontaktowałem się z ówczesnym kierownikiem działu kształcenia nauczycieli, z prośbą, a znałem go osobiście z innych czasów, żeby mi pomógł wyjednać dla pana Rękasa wynagrodzenie za hodowle, które by wyeliminowało jego nieuczciwe żonglowanie dorastającymi do uboju sztukami. I tak się skończyło ze świniami.

Data i miejsce nagrania	2006-03-13
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Redakcja	Mateusz Czekaj
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"